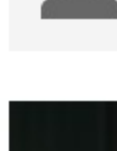


Spektakl z długą siwą brodą

Aktor-reaktor, reż. Cezary Żołyński, Teatr im. Juliusza Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim

 Juliusz Tysza

aA aA aA



Z niechlujnie zredagowanej notki umieszczonej w Internecie, na stronie Teatru im. Osterwy w Gorzowie, dowiedziałem się między innymi, że obejrzę „monodram w formie stand-upu z odrobiną uśmiechu, nostalgii i powagi. Aktor, wychodząc na scenę, nie wie do końca, jaki przebieg będzie miał spektakl. Wszystko zależy od... widza. Widz będzie prowokował do tego, aby stać się pełnoprawnym partnerem”.

Ciekaw byłem, kogo ja-widz mam prowokować i dlaczego od razu nie uważa się mnie za pełnoprawnego partnera. Podejrzywałem, że komuś, kto ten gniot stylistyczno-logiczny napisał, chodziło o to, że mam stać się partnerem aktora, którego powinienem jakoś tam do tego partnerstwa prowokować.

A jeżeli nie lubię prowokować, bo za dużo się naprowokowałem za młodu i mam już tego dosyć, to co wtedy? Czy będę jeszcze tolerowany jako nie-partner albo jakiś taki pół-partner, nie do końca pełnoprawny?

Tak się zaczęło moje obcowanie z monodramem *Aktor-reaktor* – od gniota napisanego i opublikowanego w Internecie do gniota pokazanego na Scenie Kameralnej gorzowskiego teatru. Cóż, wszędzie zdarzają się repertuarowe pomyłki, więc i nienagannemu dotąd w tej mierze Teatrowi im. Osterwy w końcu się takowa przydarzyła. Trzeba zacisnąć zęby, trochę gniota pograć, a potem z ulgą skończyć granie, szybko zapomnieć i pracować dalej. Chyba że... Ale „o tem potem”.

Piękna sala gorzowskiej Sceny Kameralnej została przekształcona w kawiarnię z estradą. Kawiarnia była jak najbardziej autentyczna – umieszczony z tyłu kącik gastronomiczny serwował kawę, herbatę, wino i ciastka, a na każdym z kilkunastu małych okrągłych stolików paliła się lampka z czerwonym abażurem. Widzowie-goście w liczbie około pięćdziesięciu zostali sprawnie rozsadzeni twarzą do sceny, na której ustawiono dwa mikrofony, dwa krzesła, keyboard i opartą o tylną ścianę gitarę. Na teźe tylnej ścianie uwidoczniono za sprawą rzutnika karykaturalnie zniekształcone wizerunki wykonawców: aktora Cezarego Żołyńskiego i muzyka Mariusza Smolińskiego, których „przyczobiono” długasnymi domalowanymi wąsami (ten pierwszy na środkowym portrecie), kopiąstą rudą peruką (nadat ten pierwszy, tyle że na konterfekcie po lewej) oraz diabelskimi różkami (ten drugi, po prawej).

Taka oto sceneria była tłem występu obu panów, który zaczął się mało udatnie – od numeru z długą brodą typu „wymuszone”, specjalnie opóźnione *entrée* aktora, poprzedzone dwoma wykonanymi na próżno, nieskutecznymi przygrywkami muzyka na keyboardzie.

Potem było raz lepiej, raz gorzej, ale prawie zawsze w tonacji raczej „bezgustownej”, przyczobionej na ogół długim, siwym, ciągnącym się do podłogi zarostem. Trudno mi wszystko szczegółowo opisać, mimo że – korzystając ze stolikowej podpórki – skrupulatnie zanotowałem cały przebieg „monodramu w formie stand-upu”. Trudno, bo trochę wstyd, a poza tym za bardzo nie ma po co.

Ogólnie rzecz biorąc, chodziło o „szczere do bólu” wynurzenia aktora dotyczące specyfiki wykonywanego przezeń zawodu i rozmaitych egzystencjalno-profesjonalnych mąk, jakich tenże aktor doznaje przy okazji owego wykonywania. Dowiedzieliśmy się zatem, iż aktor to sprzedawca-akwizytor, operujący socjotechnicznymi chwytami, żerujący na ludzkim zainteresowaniu i zaufaniu, jako że towar, za który pobiera opłatę z góry, jest dla konsumentów niewiadomą. Gdyby nie definicja teatru z Wikipedii, którą Cezary Żołyński uprzednio odczytał, czułbym się jak na jakimś kawiarnianym szkoleniu marketingowym. Początek tego występu jako żywo przypominał polskie „stendapy”, których nieudaczni wykonawcy usiłują wycisnąć z przepon widzów odrobinę śmiechu.

Dalej było tak samo albo jeszcze gorzej, bo Żołyński wdał się w krytyczną analizę fenomenu aktorstwa, deklamując najpierw bardzo fachowo *Invokację z Pana Tadeusza*, potem zaś odwołując się do dywagacji Gombrowicza, instruującego profanów, jak zostaje się pisarzem.

Te post-postschaefferowskie popłuczyny sprawiły, że na krótką chwilę wyłączyłem się z widzowskiej partycypacji w spektaklu, przywołując wspomnienia wielce udanych wieczorów sprzed wielu lat, gdy umęczona przepona, przymuszana co rusz do drgań, spontanicznie reagowała na niesamowite wyczyny Jana Peszka i braci Grabowskich. A z dziedziny monodramu o tematyce osobisto-artystycznej nasunęło mi się wspomnienie dawnych oczarowań kunstem Janusza Stolarskiego i tekstem Philpa Dimitriego Galasa w *Zemście czerwonych bućków*. Przy tej okazji, kontynuując dywagacje natury terminologicznej, dodam, że Galas określił gatunkowo swój tekst i występ jako *avant-vaudeville*. Tyż piknie!

Wracając do kameralnej sali gorzowskiego teatru: widzowskie przepony nie pracowały tu prawie wcale i reakcje rozszadzonych przy kawiarnianych stolikach ludzi na poczynania Żołyńskiego były, delikatnie rzecz ujmując, dość umiarkowane. Lekkie ożywienie nastąpiło, gdy sceniczny wykonawca zarządził głosowanie, czy ma nam wyznać, że nienawidzi aktorstwa, czy nie. Zagłosowaliśmy zasugerowanym nam znaczącym mručeniem na wariant pierwszy i się potem nasłuchaliśmy! Szczególnie nużąca była demonstracja tego, w jaki sposób powtarzane dziesiątki razy na kolejnych prezentacjach danego spektaklu słowa tracą w końcu sens. Wybraliśmy(znowu drogą głosowania) kopertę ze słowem „tykwa”, które Żołyński „ogrywał aktorsko” na dziesiątki sposobów, padając w końcu znużony na twarz.

Jedyny w miarę śmieszny, moim zdaniem, fragment (czyli obiecana w Internecie „odrobina uśmiechu”) nastąpił niedługo potem. Poprzedzony był jednak chwytem zgola żenadnym, o którym za chwilę opowiem. Otóż, Cezary Żołyński bardzo sugestywnie odegrał mękę prób, kiedy upierdliwy reżyser po raz czterdziesty któryś nakazuje powtórzenie sceny poprzedzającej akurat wejście aktora na scenę i wypowiedzenie jego kwestii. Utrzymanie koncentracji jest w tej sytuacji rzeczywiście czymś nadludzkim. Żenadne było tutaj kilkakrotne sugerowanie orientacji seksualnej reżysera przy pomocy specyficznego, dosadnie sparodiowanego sposobu wypowiadania się.

Potem nastąpił ten jedyny śmieszny moment: za którymś, entym razem reżyser nie przerywa próby i nie nakazuje powtórzenia sceny. Aktor wychodzi z kulis i już, już ma wypowiedzieć swoją kwestię, gdy reżyser nagle oświadcza, że do tej sceny wrócą jutro.

Ogólnie rzecz biorąc, chodziło w tym spektaklu głównie o to, że aktor udaje, iż nie jest sobą, tylko kimś innym, „sprzedając” widzom wiarę w nieśmiertelność, bo przecież na scenie nikt naprawdę nie umiera. Nie będę już dalej opowiadał, co Cezary Żołyński wyduszał z siebie, usiłując bezskutecznie skłonić premierowych widzów do jakiejś żywszej reakcji, bo to nadzwyczajne spiętrzenie banalów mogłoby PT Czytelniczki oraz Czytelników przysparzyć o isticie gombrowiczowsko-operetkowe egzystencjalne młdości (trochę *à propos*: o operetce nie było nic, natomiast było o operze, i to sporo, bo opera to, cytuję: „sztuczność prawdziwa”). Było ponadto kilka solidnie wykonanych popisów wokalnych (niezła parodia gatunków śpiewaczo-rozrywkowych), potępienie poezji z argumentacją na poziomie powiatowego bazaru (i dlatego nader przekonujące), chwalba poezji w stylu Pimki (mało przekonująca), no i „szalone dywagacje” w postaci przyrównania teatru do bulki z serem: połówka bulki to scena, ser to aktor, a druga połówka – ta z masłem – to widownia, masło to widz; widz-masło trzyma ser-aktora, bo się przykleja – boki zrywać!

Pod koniec była znowu ostra żenada, jako że gorzowski aktor usiłował powtórzyć słynną scenę z filmu Rubena Östlunda *The Square*, kiedy to człowiek-małpa bezceremonialnie wkracza na elegancki bankiet i coraz agresywniej odnosi się do siedzących przy stołach gości. Na szczęście Żołyński ograniczył się do zasugerowania pewnej pani z frontowego stolika, by pożywiła się bananem, po czym zapobiegliwie wycofał się na scenę.

Sam koniec był „oczeń sierioznym”, trochę nawet „perieżywajuszczyj”: aktor wyznał nam „całkiem szczerze”, co się tak naprawdę dzieje w teatrze, który jest instytucją „bez honoru”, bo tylko gada się w nim wciąż o prawdzie, a na co dzień się kłamie i obgaduje koleżeństwo-aktorstwo za plecami, zakładając – jak to w życiu – różne maski na różne okazje.

Gdy z ulgą oddychając, biliśmy brawo, okazało się, że mamy do czynienia z monodramem, który „przyczobiony” jest obowiązkowym bisem. Na szczęście okazało się, że na bis aktor bardzo sprawnie, profesjonalnie wykonał *Dance Me to the End of Love* Leonarda Cohena. Niestety, śpiewacza część bisu poprzedzona była zaprezentowaniem analogii pomiędzy spoczywającą cały czas na scenie gitarą a Czechowowską strzelbą, która w końcu musi w którymś tam akcie wypalić. (Zaciekawilo mnie przy tej okazji, czemu Żołyński w takim razie w żaden sposób nie ograł przyniesionej przez siebie pod pachą na samym początku czarnej maski Lorda Vadera. Bo ta „strzelba” też cały czas była obecna na scenie, a nie „wypaliła”. Czyżby wskutek premierowego niedopatrznienia? Litościwie uznaje, że maska owa była świadomie zastosowaną prowokacją wobec widza, iżby tenże po wyjściu z teatru miał jednak jakiś istotny motyw do zastanowienia.)

„Przypadkowo” zgłaszający się pan z tylnego stolika okazał się profesjonalnym gitarzystą, fachowo przygrywającym aktorowi, który ładnie zaśpiewał, no i wreszcie zrobiło się jakoś.

Cezarego Żołyńskiego widziałem na gorzowskiej scenie w wielu wcieleniach, więc doskonale zdaję sobie sprawę, że jest dobrym aktorem, tyle że tutaj został wciśnięty w napisany przez kogoś innego, koszmarny tekst i wykreowany przez to równie koszmarny sceniczny kontekst. Gdyby był autentycznym „stendaperem”, który mówi własnym tekstem, pozostałoby mu chyba po tej nieszcześnie premierze zastrzelenie się – nie sceniczną strzelbą, tylko przysłowiową gumą od majtek. (Pardon za tę żenadę krytyczną, ale „jaki spektakl, taka recenzja”).

Jedynym pocieszeniem jest (mało wiarygodna) spekulacja następującej treści: premierowa widownia złożona była głównie z „ludzi z branży” i znajomych, czyli z widzów, dla których „druga świeżość” wypowiedzianych na scenie kwestii była sprawą oczywistą (końcowe brawko było krótkie i „niepremierowo” zdawkowe). Może jednakowoż zdarzyć się i tak, że dla widzów kolejnych prezentacji ten gniot okaże się ciut świeższy. Pocieszam tą mało wiarygodną spekulacją nie siebie, lecz realizatorów spektaklu, w tym zwłaszcza dobrego aktora, który doprawdy nie zasłużył sobie na tę nierówną, z góry przegraną walkę z kiczowatym tekstem.

03-06-2019

Teatr im. Juliusza Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim

Artur Belling

Aktor-reaktor

reżyseria: Cezary Żołyński

scenografia: Iza Toroniewicz

muzyka: Mariusz Smoliński

obsada: Cezary Żołyński

premiera: 26.05.2019

CEZARY ŻOŁYŃSKI

GORZÓW WIELKOPOLSKI

TEATR IM. JULIUSZA OSTERWY W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM

Szukaj w serwisie

Szukaj

REGIONY

POWIĄZANE TEATRY

Teatr im. Juliusza Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim

PRZECZYTAJ TEŻ

Ewa Danuta Godziszewska
Lupa i długo, długo nic

Dominik Gac
Tak sobie myślę... część II

Zuzanna Berendt
Kondycja człowieka

Zuzanna Berendt
Bliskie sobie światy

Magda Piekarska
Techno krzepi

Henryk Mazurkiewicz
A płynięcie!

BĄDŹ NA BIEŻĄCO

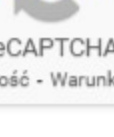


Bądź na bieżąco, dołącz do naszego newslettera

Twoje adres email

Dołącz

☐ Nie jestem robotem

reCAPTCHA
Przywróć - Wyczyść

Dołączając akceptujesz naszą politykę prywatności oraz warunki korzystania z portalu zawarte w regulaminie.

Projekt „Ogólnopolski portal Teatralny.pl” jest finansowany ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Programów MKiDN, priorytet TEATR



Przeczytaj

Świat

Nadesłane

Książki

Varia

Felietony

Historia teatru

Ludzie

Rozmowy

Opinie

Recenzje

Inne

Biblioteka

Redakcja

Patronaty

Współpraca

Szkola

Kontakt

Znajdziesz nas też tu:

 Facebook